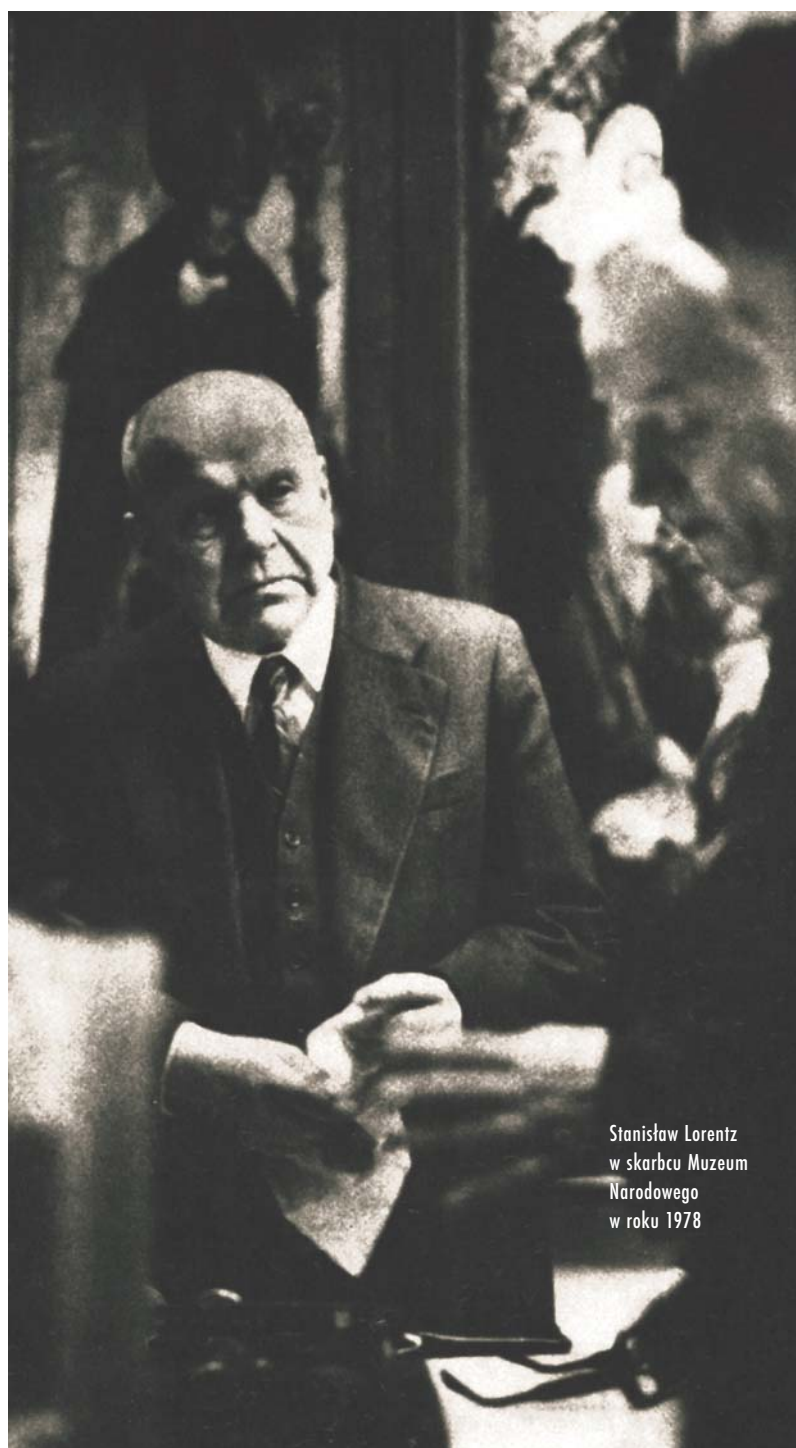


Nieżłomny muzealnik

Ewa Sośnicka-Wojciechowska

Kiedy w czasach uczniowskich z goryczą patrzył na Zamek Królewski, ówczesną siedzibę rosyjskiego generała-gubernatora, nie przypuszczał, że ta budowla zostanie prawie całkowicie zniszczona podczas wojny, a po 1945 r. to on sam z gronem przyjaciół będzie niezmordowanie i zwycięsko dążyć do jego odbudowy



Stanisław Lorentz
w skarbcu Muzeum
Narodowego
w roku 1978

Ostatnio, zapewne z powodu rocznic 1 września i 17 września 1939 r., często przypominano nam, jak wielu przedstawicieli przedwojennej inteligencji polskiej zginęło podczas II wojny światowej. Do tych, którzy przeżyli i nie wyemigrowali z Polski, ale wybitnie przyczynili się do ratowania dóbr naszej kultury, należał profesor Stanisław Lorentz. W tym roku mija 110. rocznica jego urodzin.

– To był człowiek z pasją – mówi o nim jeden z najbliższych współpracowników, a od 1991 r. dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie prof. Andrzej Rottermund. Córka Lorentza, historyk literatury prof. Alina Kowalczykowa, do najważniejszych cech ojca zalicza pasję badawczą i stanowczość w dążeniu do celu. I od razu dorzuca, że są to skłonności odziedziczone po jego ojcu Karolu Ludwiku Lorentzu, który rodzinne finanse pokoleń kapeluszników przeznaczył na wybudowanie w Radomiu w 1900 r. szkoły z internatem. Zatrudnił guwernerów Niemca i Francuza, ale zabrakło Rosjanina. Toteż po roku został wezwany do Petersburga, gdzie usłyszał, że albo w szkole będzie rosyjski guwerner, albo zostanie ona zamknięta. Nie ugiął się, zamknął szkołę.

Chrzest bojowy w Trokach

Stanisław Lorentz jako 16-letni gimnazjalista rozrzucał ulotki (jedna jest w archiwum rodzinnym) z wezwaniem: „Koledzy, nie chodźmy na lekcje języka rosyjskiego!”. W książce Roberta Jarockiego *Rozmowy z Lorentzem* profesor wspomina, że często w czasach uczniowskich kończył obchód Starego Miasta przy moście Kierbedzia, skąd patrzył na Zamek Królewski „z uczuciem bolesnym, z goryczą”, bo był on wówczas siedzibą rosyjskiego generała-gubernatora i można go było tylko oglądać z zewnątrz. Nie mógł wtedy przypuszczać, że zamek zostanie prawie całkowicie zniszczony podczas II wojny światowej, a po 1945 r. to on z gronem przyjaciół będzie niezmordowanie i zwycięsko walczył o jego odbudowę.

Po maturze rozpoczął studia filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim. Jak jednak pisze w swoich *Zapiskach do autobiografii* („Kwartalnik historii nauki i techniki”, 1979 z. 4), w 1919 r. wybrał jako główny kierunek swych studiów historię sztuki i w 1924 r. uzyskał stopień doktora, na podstawie obszernej

monografii architekta Efraima Schrögera (opublikowano ją po 60 latach!). Miał poważne zainteresowania naukowe, był wieloletnim asystentem profesora Zygmunta Batowskiego. Potrafił jednak znaleźć czas także na towarzyskie rozrywki. Świetnie tańczył, bywał wodzirejem na balach; na jednym z nich w podwarszawskich Urlach poznał swą przyszłą żonę Irenę z Nasfeterów. Dzień ich spotkania – 14 sierpnia 1926 r. – był potem corocznie świętowany w rodzinie. – Moi rodzice bardzo się kochali – mówi córka – przeżyli razem ponad 50 lat.

Na przełomie 1928 i 1929 r. Stanisław Lorentz wyruszył do Wilna, by objąć stanowisko głównego konserwatora zabytków województwa wileńskiego i nowogródzkiego oraz kierownika wileńskiego Oddziału Sztuki. Działal energicznie i zapisał się złotymi zgłoskami w historii ochrony i konserwacji tamtejszych zabytków. Bywało, że popadał w konflikty, słynna była jego akcja, do której wprzął całe środowisko, o zachowanie w kraju wspaniałych gobelinów wileńskich, które chciano sprzedać za granicę. Najlepszym przykładem jego niekonwencjonalnych działań było ratowanie zamku w Trokach. Otóż, po obejrzeniu ruin podwójnego zamku (budowle na wyspie i na lądzie) doszedł do wniosku, że wkrótce pozostanie po nich tylko zwalisko gruzu. *Wróciłem do Wilna podniecony i zdecydowany natychmiast podjąć prace konserwatorskie w Trokach, bez oglądania się na budżet, w którym nie przewidywano środków na ten cel. Byłem w jakiejś euforii* (cytat z książki *Rozmowy z Lorentzem*). Pożyzył z banku na prywatny weksel 10 tys. zł, zatrudnił robotników i rozpoczął prace. Gdy w Warszawie dowiedziano się o tym

posunięciu młodego konserwatora zabytków, rozpętała się burza. Miał kłopoty w ministerstwie, ale uznał, że przeszedł wtedy chrzest bojowy w tego rodzaju sporach, bo całe późniejsze życie wypełniają mu ryzykowne posunięcia, niepodobające się zarówno biurokracji przedwojennej, jak i powojennej (źródło: *Rozmowy z Lorentzem*).

Akcja pruszkowska

W 1935 r. Stanisław Lorentz opuścił Wilno, gdyż został powołany przez prezydenta Stefana Starzyńskiego na stanowisko



Stanisław Lorentz, student Uniwersytetu Warszawskiego, 1918 r.

udał się na spotkanie z oficerami niemieckimi i przekonał ich, że przed całkowitym zburzeniem Warszawy należy wywieźć z niej najcenniejsze zbiory, które mają wartość nie tylko dla Polski, ale i dla kultury europejskiej. Zapytany, jak mu się to udało, odpowiedział: *Mam już takie usposobienie, że kiedy nastawiam się na załatwienie jakiejś sprawy, koncentruję się na tym całkowicie. W tym wypadku podjąłem grę o bardzo wysoką stawkę z osobami mi nienawistnymi, którymi głęboko pogardzałem, ale musiałem grać na ich próżności i chciwości, żeby wygrać* (*Rozmowy z Lorentzem*). A w akcji brało udział około 200 osób, wśród nich

dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie; pełnił tę funkcję nieprzerwanie do 1982 r., kiedy to został zwolniony przez władze stanu wojennego (razem ze swymi ówczesnymi zastępcami, dr. Andrzejem Rottermundem i Jerzym Baranowskim). Z tytułem „polski kierownik muzeum przy niemieckim komisarzu” pozostawał pracownikiem miejskim nawet przez cały okres okupacji. *Niezwykle mi to ułatwiło wypełnianie moich właściwych obowiązków, bo Muzeum Narodowe stanowiło siedzibę mojej działalności w służbie Polskiego Państwa Podziemnego* (*Zapiski do autobiografii w „Kwartalniku”*). Była to praca na zlecenie londyńskiej Delegatury Rządu na Kraj; rejestrował straty kultury polskiej i ratował, co mógł, przed zniszczeniem i grabieżą przez hitlerowców. Nie opuścił muzeum także podczas powstania. Chętnie potem opowiadał anegdotę o tym, jak starając się wykorzystać każdą chwilę dozwolonego spaceru po dziedzińcu (Muzeum Narodowe nie zostało odbite przez powstańców, a pracownicy mieli zakaz opuszczania budynków), przechadzał się szybkim krokiem tam i z powrotem. Niemcy uznali to za przejaw szaleństwa; bali się ludzi niepoczytalnych i planowali go zastrzelić. Na szczęście, ostrzeżono go; nie przestał wychodzić na dziedzińiec, lecz spacerował teraz inaczej, wolniej, oglądał kwiatki... – Ojciec nigdy nie zdradzał lęku. O nas, o rodzinę, bardzo się bał w czasie wojny, ale nie o siebie – wspomina córka.

Najlepszym przykładem jego wielkiej determinacji i odwagi była tzw. akcja pruszkowska. Po kapitulacji stolicy, 1 listopada 1944 r. Stanisław Lorentz

kolejarze, którzy wysledzili docelowe miejsce danej wysyłki, aby można było ją stamtąd po wojnie odebrać. Większość tych zbiorów potem odzyskano, wiele przedmiotów ukryto przed wysyłką. A wszystko to działo się w pokonanej, umierającej Warszawie! Tak więc Stanisław Lorentz codziennie przez dwa miesiące stawiał się wraz z innymi ludźmi kultury w Pruszkowie i stamtąd niemieckie ciężarówki przewoziły ich do Warszawy. Byli to znakomici specjaliści, którzy bez wahania dołączyli do niebezpiecznej akcji – między innymi profesorowie Jan Zachwatowicz, Stanisław Herbst, Bogdan Korzeniowski...

Radziecki sprawdzian wiarygodności

Wielu artystów i ludzi pióra zwracało się z prośbą do Lorentza o ocalenie ich prac. Pewnego razu, gdy siedział na wykonanej z brązu głowie Solskiego dłuta Alfonsa Karnego (wywóz metali kolorowych był zakazany), rewidujący żandarm odchylił okrycie i triumfująco krzyknął: „A to co?!”. I gdyby nie błyskawiczny refleks, pan Stanisław zostałby najprawdopodobniej natychmiast rozstrzelany. Licząc na panujący półmrok, odkrzyknął: „Der Führer!”. Żandarm uwierzył. Na marginesie: nasz bohater mówił płynnie w trzech językach – rosyjskim, niemieckim i francuskim, porozumiewał się też w języku angielskim.

*W tym optymizmie Lorentza, w tym jego niestrudzonym, zdawałoby się, dobrym humorze, zapale, z jakim wykonywał swoje trudne zadania, czerpaliśmy pociechę. Każdy ocalony paperek, każda pamiąteczka nabierała symbolicznego wyrazu, wszystko, co się wydzierano zniszczeniu, posiadało dziesięciokrotną cenę, swoją nieocenioną wartość moralną. To już był początek odbudowy Warszawy – napisał Jarosław Iwaszkiewicz w księdze zbiorowej *Walka o dobra kultury. Warszawa 1939-1945*.*

Zaraz po wojnie prof. Lorentz włączył zespoły pałacowe Wilanowa i Nieborowa do Muzeum Narodowego. Jeździł po całej Polsce w poszukiwaniu wywiezionych dóbr. Aby „rewindykować” różne obiekty, musiał często dogadywać się z rosyjskimi oficerami. A ci mieli tylko jeden sposób na sprawdzenie jego wiarygodności. Na początek trzeba było wypić szklankę wódki; ponoć rozwiązywała język i wtedy dopiero nowi okupanci mogli ocenić, na ile rozmówca jest szczerzy. Profesor poświęcał się dla sprawy tak długo, że w końcu ciężko się rozchorował.

Wiele przeżywał podobnych przygód, ale też i pełnił wiele ważnych funkcji. Oprócz dyrektorowania w Muzeum Narodowym został szefem utworzonej z jego inicjatywy przy Ministerstwie Kultury i Sztuki Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków, która istniała do 1951 r. Zaprosił tam do współpracy najwybitniejszych specjalistów z dziedziny historii sztuki, muzealnictwa i konserwatorstwa: Jana Zachwatowicza, Witolda Kiezkowskiego, Władysława Tomkiewicza, Stanisława Herbsta, Ksawerego Piwockiego, Bohdana Marconiego czy Jerzego Szablowskiego. Równocześnie, również do 1951 r., był kierownikiem Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego,



Stanisław Lorentz z córkami Ireną i Aliną w roku 1942

a w 1954 r. został profesorem historii sztuki nowożytniej. Można sobie wyobrazić, jak bardzo był zajęty.

Jak każdy człowiek autorytarny (szybko podejmował decyzje i były one śmiałe) profesor Lorentz miał swoich zwolenników i przeciwników. Cały Kraków się na niego obraził, gdy próbował zatrzymać w Warszawie (nieskutecznie) największy skarb krakowski – „Dagę z łasiczką” Leonarda da Vinci. Oburzano się słusznie, ale można te jego zakusy zrozumieć: Kraków wyszedł z wojny niemal nietknięty, Warszawa była zniszczona, pozbawiona wszystkiego. Inaczej wyglądała sprawa innych rewindykowanych zabytków, zatrzymywanych w warszawskim muzeum: profesor uważał, że obiekty najcenniejsze tu powinny się znajdować, bo tylko tutaj zostaną odpowiednio zabezpieczone. Autor książki *Rozmowy z Lorentzem* napisał o swym interlokutorze, że czasem ma drapieżność rekina, ale na pewno nie jest papierowym tygrysem.

Zamek za wszelką cenę

Prof. Andrzej Rottermund wspomina, że gdy w Ministerstwie Kultury i Sztuki nastał Włodzimierz Sokorski (był to rok 1952), wezwał do siebie prof. Lorentza i powiedział: „A teraz, panie profesorze, proszę wziąć czerwony sztandar i pod tym sztandarem prowadzić swoich kolegów współpracowników...”. I co zrobił profesor? Zdaniem prof. Rottermunda zrobił wszystko, by jak najwolniej iść z tym sztandarem. A po marcu 1968 r., kiedy wielu wykładowców straciło pracę na uczelniach, Muzeum Narodowe stało się dla niektórych z nich azylem. Należało do nich filozof, historyk estetyki, prof. Stefan Morawski.

Po wybuchu wojny dyrektor Lorentz był przekonany, że zbombardowany i zburzony Zamek Królewski zostanie odbudowany. Dlatego we wrześniu 1939 r. wynosił wraz z pracownikami muzeum, a nawet z przygodnymi mieszkańcami stolicy wszystko, co dało się ocalić; chowano uratowane fragmenty ścian, dekoracji ściiennej, wykonano dokumentację fotograficzną, robiono wszystko, co było tylko możliwe, aby zamek został kiedyś wiernie odbudowany. Lecz dopiero w 1949 r. Sejm podjął uchwałę o odbudowie Zamku Królewskiego, w 1955 r. ogłoszono konkurs architektoniczny dotyczący tej odbudowy. Wprawdzie potem powołano pracownię „Zamek Królewski”, ale kiedy I sekretarzem PZPR został Władysław Gomułka, okazał się on wielkim przeciwnikiem odbudowy i powstał nawet zapis cenzury na Zamek Królewski (nie można było o nim pisać). Również pracownia zamkowa została zlikwidowana, ale prof. Lorentz przejął całą jej dokumentację do Muzeum Narodowego. Nie rezygnował, ponieważ wiedział, że zamek jest symbolem niepodległej, suwerennej Polski.

Prof. Rottermund przypomina sobie z tego czasu rozmowę prof. Lorentza z prof. Aleksandrem Gieysztozem i chyba prof. Janem Zachwatowiczem. „Stwórzmy komitet do spraw odbudowy zamku” – mówił Lorentz. „Ale Stasiu – zauważył któryś z profesorów – przecież nie można...”. „No to niech będzie... podziemny!” – odpowiedział Lorentz. – To był żart, ale w rezultacie rzeczywiście prowadzono nieoficjalne prace nad projektem i kiedy w 1971 r., już za Gierka, pojawiła się pozytywna decyzja co do odbudowy zamku – byliśmy gotowi – mówi prof.

Rottermund. Zamek Królewski został otwarty dla zwiedzających w 1984 r. Stanisław Lorentz zmarł w 1991 r.

I ostatnia anegdota opowiedziana przez Roberta Jarockiego na spotkaniu bielańskiego oddziału Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, poświęconemu Stanisławowi Lorentzowi, który w 1963 r. był jego założycielem. Otóż w latach 80. dwie dokumentalistki robiły film o Lorentzu. Zanim

został on ukończony, nastąpił przełom 1989 r.; gdzieś w 1990 r. pani znów zaprosiła autora książki o profesorze, Roberta Jarockiego, na rozmowę. Jedną z nich, osobą około 30-letnią, zapytała Jarockiego: „Jak pan to wytłumaczy, że tacy ludzie, jak Lorentz czy Zachwatowicz, nie wyjechali z kraju po 1945 r., ale zostali i współpracowali z władzami komunistycznymi?”. Po chwili zastanowienia Robert Jarocki odpowiedział: „Czy pani zdaje sobie sprawę, że gdyby nie takie osoby jak prof. Lorentz, to dziś pani w ogóle nie mogłaby zadać mi tego pytania? A, być może, mówiłaby pani po rosyjsku...”.

Nazwisko Stanisława Lorentza nosi alejka parkowa na tyłach Muzeum Narodowego, a upamiętniająca go tablica została umieszczona w bramie Zygmuntowskiej Zamku Królewskiego. ←

**„Stwórzmy komitet do spraw odbudowy Zamku Królewskiego” – postulował w czasach gomułkowskich Stanisław Lorentz.
„Ale Stasiu – tłumaczył któryś z profesorów – przecież nie można...” .
„No to niech będzie... podziemny!”
– odpowiedział Lorentz**

W podziemiach Muzeum Narodowego przy fragmentach polichromii ściennych uratowanych z Zamku Królewskiego – pierwszy z lewej Stanisław Lorentz

